TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR, CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.................................... $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 2. Chicago, Ill., Czwartek, 13-go Stycznia, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

IV.

Drużyna Andrejewicz i żona jego.

Gdyby czytelnik mógł przenieść się myślą w przeszłość, na trzysta lat temu i popatrzeć z wysokiej dzwonnicy na ówczesną Moskwę, znalazłby w niej mało podobieństwa do teraźniejszej. Lubili prawosławni ozdabiać domy Boże, ale mało się troszczyli o powierzchowność swych domów mieszkalnych, które wszystkie prawie były wybudowane mocno i zwyczajnie, z sosnowych lub dębowych okrąglaków, nieociosanych nawet. Trzymali się widać przy budowie za bardzo starego rosyjskiego przysłowia, które powiada, że lepiej mieć izbę brzydką a pirogi dobre, niż izbę ładną a pirogów nie mieć.

Jeden tylko dom bojara Drużyny Andrejewicza Morozowa, na brzegu rzeki Moskwy, odróżniał się pięknością. Bojar Drużyna Andrejewicz, przystojny mężczyzna, charakteru srogiego, nie zważając na swoje nie młode już lata, ożenił się niedawno z najpierwszą moskiewską pięknością. Wszy-

scy się zdziwili, gdy wyszła za niego dwudziestoletnia Helena córka Dymitryewicza... zabitego pod Kazaniem. Nie takiego jej męża prorokowały kumoszki.

Morozow, ożeniwszy się z Heleną, stał się jej opiekunem, a wszyscy wiedzieli w Moskwie, że nie uszłoby bezkarnie obrazić tę, którą brał pod swą opiekę bojar Drużyna Andrejewicz!

Wielu carskich ulubieńców, przed zamążpójściem Heleny, starało się pozyskać jej względy, ale nikt się tak o nią nie dobijał, jak książę Afanasij Iwanowicz Wiaziemskij. I drogie podarunki jej posyłał, i w cerkwiach naprzeciwko niej stawał, i na spienionym koniu jeździł mimo jej domu — nic nie pomagało, swaty odnosili mu jego podarunki a przy spotkaniu z nim Helena się odwracała. Czy się dla tego odwracała, że jej się nie podobał Afanasij Iwanowicz, czy też serce dziewczęcia może wtedy o kim innym myślało, dość że mimo wszelkich starań kniaź Wiaziemskij dostał jednak odkosza. W końcu rozgniewał się Afanasij Iwanowicz i poszedł bić czołem przed carem Iwanem w swem nieudanem przedsięwzięciu. Car obiecał sam posłać swaty do Heleny Dymitryewny. Dowiedziawszy się o tem Helena zalała się łzami. Poszła z mamką do cerkwi, upadła na kolana przed Matką Boską, poczęła płakać i całować ziemię.

W cerkwi narodu nie było, ale gdy Helena wstała i obejrzała się, — za nią stał bojar Morozow w aksamitnym zielonym kaftanie.

— Czego płaczesz, Heleno Dymitryewno — spytał Morozow.

Poznawszy bojara, Helena się ucieszyła. Drużyna był niegdyś w wielkiej przyjaźni z jej rodzicami, a po ich śmierci odwiedzał ją często; kochał ją jak własną córkę. Helena go szanowała jak ojca i zwierzała mu się z myślami, jednej tylko mu nie powierzyła; zatrzymała dla siebie na zmartwienie, a dla niego na zgubę.

I teraz na pytanie Morozowa nie wyjawiła mu tej tajemnej myśli; rzekła tylko, że płacze tego, iż przyjadą carskie swaty zmusić ją wyjść za Wiaziemskiego.

— Heleno Dymitryewno — rzekł bojar — czy naprawdę nie chcesz Wiaziemskiego?

— Nigdy — odpowiedziała Helena — nigdy go nie pokocham. Prędzej do grobu zstąpię!

Bojar popatrzył na nią ze współczuciem.

— Heleno Dymitryewno — rzekł po krótkim przeciągu czasu — jest środek ratunku dla ciebie. Posłuchaj! Jestem stary i siwy, ale kocham cię jak moją córkę. Pomyśl, Heleno, czy się godzisz wyjść za mnie starego?

Tknęło bojara niespodziewane słowo; ucieszył się z radości Heleny, ale się domyślił stary, że to radość tonącego, który się chwyta za krzak cierniowy.

— Zgodzę — krzyknęła radośnie Helena i padła do nóg Morozowowi.

Czule podniósł Helenę i pocałował w czoło.

— Dziecko — powiedział — ucałuj krzyż, że nie zniesławisz mej siwej głowy; złóż przysięgę tu przed Zbawcą!

— Przysięgam, przysięgam — wyszeptała Helena.

Wkrótce się odbyły zaręczyny, a gdy przyszły królewskie swaty, Helena już należała do Drużyny Andrejewicza Morozowa.

Nie z miłości wyszła Helena za starego bojara, ale całowała krzyż, że będzie mu wierną i szczerze postanowiła przysięgi dotrzymać i nie zgrzeszyć przeciwko Panu swemu ani słowem ani myślą. I czemużby nie miała kochać bojara Drużyny Andrejewicza? Prawda, nie młodym był bojar, ale z łaski Boga miał wszystkiego pod dostatkiem; i zdrowia i siły i sławę na wojnie, i silną wolę, i wsie, i sioła, i złota pełno, i materye drogie, i futra. Jednego tylko Bóg mu odmówił: łaski u cara Iwana. Car dowiedziawszy się o spóźnieniu swych swatów, rozgniewał się na Morozowa i postanowił go ukarać. Kazał zaprosić pewnego razu do siebie bojara na ucztę i posadził nietylko niżej Wiaziemskiego, ale nawet niżej Godunowa Borysa Fedorowicza, nie sprawującego jeszcze podówczas żadnego urzędu przy dworze.

Nie przeniósł bojar takiej zniewagi i wstał z za stołu mówiąc: nie wypada, żeby Morozow siedział niżej Godunowa. Car wtedy jeszcze więcej się rozgniewał i kazał

Morozowowi przyjść do domu Godunowa i przeprosić go. Morozow przyszedł, ale srodze jeszcze zwymyślał Godunowa, i nazwał go szczeniakiem.

Dowiedziawszy się o tem car wpadł w złość wielką przykazał Morozowowi odejść ze swych oczu i zapuścić włosy, dopókąd nie zdejmie z niego opały [1]).

Oddalonym został bojar od dworu i chodzi teraz w "cichej" odzieży z brodą nieczesaną a na czoło jego spadają siwe włosy. Smutno bojarowi nie widzieć oczu carskich, ale nie shańbił swego rodu, nie siadł niżej Godunowa.

Dom Morozowa był rogiem obfitości. Ale nikogo tak nie pieścił, nikogo tak nie obdarzał, jak swą młodą żonę Helenę Dymitryewnę. Żona za dobre płaciła dobrem, i każdego poranku i wieczoru długo klęczała w swym pokoiku i modliła się gorąco o zdrowie dla niego.

1565 roku, 24 Czerwca w dzień "Iwana Kupały" [2]) wszystkie dzwony moskiewskie od samego rana dudniły bez przestanku. Wszystkie cerkwie były przepełnione. Po skończonem nabożeństwie naród rojami snuł się po ulicach. Młodzi i starzy, biedni i bogaci. nieśli do domu zielone gałązki, kwiaty, brzózki, ubrane wstążkami. Wszystko było pstre, żywe i wesołe. Jednakże ku południowi zaczęło się robić pusto; po trochu naród się rozchodził i wkrótce nie można było spotkać na ulicy ani jednego człowieka. Zapanowała głęboka cisza. Prawosławni odpoczywali w swych domach, i nikogo nie było, ktoby obrażał Boga, spacerując po ulicach, bo Pan człowiekowi i wszelkiemu stworzeniu przykazał odpoczywać w południe. A grzech sprzeciwiać się woli Bożej, chyba że tego nagła potrzeba wymaga. A zatem wszyscy spali; zdawało się że Moskwa była bezludnem miastem. Tylko na "Bałczudze", w niedawno wybudowanym szynku, słychać było krzyki, kłótnie i pieśni. Tam, nie zważając na południe, ucztowali jeźdźcy, prawie wszyscy młodzi, w bogatych ubiorach. Rozłożyli się i w domu i na dziedzińcu i na ulicy. Wszyscy byli pijani: jeden, leżąc na gołej ziemi, wylewał na ubranie lampkę wina; inny starał się ochrypłym głosem wtórować towarzyszom; ale wydawał jakieś głuche, niezrozumiałe dźwięki. Osiodłane konie stały u wrót. Do każdego siodła była przymocowana miotła i psi łeb.

W tymże czasie pokazali się na ulicy dwaj jeźdźcy. Jeden z nich w karmazynowym kaftanie ze złotemi kutasami i w białej czapce, z pod której falowały się gęste blond włosy, rzekł do drugiego jeźdźca:

— Micheiczu, widzisz pijanych ludzi?

— Widzę ich bojarze, kura ich rodziła, jak sobie podochocili!

— A widzisz co wisi u siodeł?

— Widzę, miotły i psie pyski, jak u tego rozbójnika. Widać, że są to rzeczywiście carscy ludzie, narobiliśmy sobie biedy!

Srebrny zmarszczył brwi.

— Idź spytaj się ich, gdzie mieszka bojar Morozow.

— Hej, dobrzy ludzie! poczciwe dusze! – krzyknął Micheicz podjeżdżając ku nim — gdzie mieszka bojar Drużyna Andrejewicz Morozow?

— A na co ci wiedzieć, gdzie ten pies mieszka?

— Mój pan, książę Srebrny, ma papiery do Morozowa od wojewody księcia Prońskiego.

— Dawaj je tu!

— Co wy? co ty? kura cię ro...; masz ty rozum, ja ci dać książęce papiery?

— Dawaj tu, stary łyku, dawaj! Zobaczymy, czy tu Morozow nie umyślił zdrady przeciw carowi! — dawaj!

— Ach, ty łotrze! — krzyknął Micheicz, zapominając o ostrożności, z jaką zaczął był mówić — albo mój pan zna się ze zdrajcami?

— A! to ty jeszcze bratku wymyślasz! Ściągnąć go z konia chłopcy!

Srebrny w sam czas przybył na pomoc Micheiczowi.

— Nazad! — krzyknął tak groźno, aż się mimowoli opricznicy zatrzymali.

— Jeżeli kto z was choć palcem trąci

---

1) Dawniej jeżeli car był zagniewany na którego z dworaków, oddalał go wtedy od dworu i kazał mu mieszkać gdzieś daleko od siebie, włosy i brodę zapuścić i chodzić w odzieży zwyczajnej tz. "smirnoj", tj. cichej. To się nazywało być w opale. (P. T.)

2) S. Jana 24 Czerwca.

tego człowieka, łeb temu rozwalę, a reszta będzie odpowiadała przed carem.

Oprycznicy się zmięszali, ale nowi ich towarzysze podeszli z sąsiednich ulic i obstąpili księcia. Umysły i przekleństwa posypały się z tłumu i wielu wyjęło szable, i niewiadomo, jakby się to wszystko skończyło, gdyby w tej samej chwili oprycznicy nie usłyszeli opodal głosu, śpiewającego psalmy, który ich zatrzymał jakby za pomocą jakich czarów.

Wszyscy się obejrzeli w tę stronę, zkąd rozlegały się śpiewy. Po ulicy szedł człowiek lat czterdziestu w jednej płóciennej koszuli. Na piersiach jego brzęczały żelazne krzyże i łańcuchy, a w rękach trzymał różaniec. Blade lica jego wyrażały nadzwyczajną dobroć, na ustach okolonych rzadziutką brodą igrał uśmiech, ale oczy patrzały błędnie i bez najmniejszego wyrazu [1]).

Ujrzawszy Srebrnego święty przerwał swój śpiew, podszedł prędko ku księciu i spojrzał mu prosto w oczy.

— Tyś tutaj? — powiedział, jakby się dziwił — dla czego jesteś między nimi? — I nie czekając na odpowiedź zaczął śpiewać: “Szczęśliwym jest mąż, który nie idzie za radą nieuczciwych”.

Oprycznicy odstąpili z uszanowaniem, ale święty nie zważając na nich znów począł patrzeć w oczy Srebrnemu.

— Mikitka! — Mikitka! — powiedział kiwając głową — gdzieś ty zajechał?

Srebrny nie widział nigdy tego człowieka i zdziwił się, że ten wie jego imię.

— Czy znasz mnie? — spytał.

Święty rozśmiał się.

— Tyś mi jest bratem — odpowiedział — od razu cię poznałem. Jesteś takim samym jak i ja. I rozumu nie masz więcej ode mnie, bobyś tutaj nie przyjeżdżał. U ciebie tam swobodnie, sama prawda: myśmy bracia. Ale ci — mówił wskazując na opryczników — ci nie są naszymi braćmi.

— Wasia, czy ci czego potrzeba? — spytał jedan z opryczników — może chcesz pieniędzy?

— Nie, nie! od ciebie nic nie chcę. Wasia nic od ciebie nie weźmie, ale daj Mikitce, czego on chce.

— Boży człowieku! — rzekł Srebrny — ja się pytałem, gdzie mieszka bojar Morozow?

— Drużynka? to nasz! to brat; tylko głowa jego nie zgięta u! jaka nie zgięta, ale się niedługo zegnie, niedługo zegnie, i już nie wyprostuje!

— Gdzie on mieszka? — powtórzył łagodnie Srebrny.

— Nie powiem — odparł Wasia z gniewem, — nie chcę cię posyłać na niedobrą sprawę.

I z pospiechem się oddalił, śpiewając znów swój przerwany psalm.

Nie rozumiejąc słów jego i nie tracąc czasu na domysły, Srebrny znów się spytał opryczników:

— Cóż! powiecież mi w końcu, jak znaleźć dom Morozowa?

— Idź ciągle prosto — odpowiedział gburowato jeden z nich — tam jak skręcisz na lewo, znajdziesz gniazdo starego kruka.

Po oddaleniu się księcia, oprycznicy uspokojeni przez świętego, znów zaczęli swą pijatykę.

— Hej! — krzyknął jeden – pokłoń się Morozowowi od nas i powiedz, żeby się szykował na szubienicę, bo już czas!

— I dla siebie weź na zapas postronek! — dodał drugi.

Ale książę nie zważał na ich wymysły.

— Co chciał mi Wasia powiedzieć — pomyślał spuściwszy głowę. — Dla czego nie pokazał mi domu Morozowa i jeszcze dodał, że nie chce mię posełać na niedobrą sprawę?

Jadąc dalej książę i Micheicz spotkali jeszcze wielu opryczników. Jedni byli już pijani, drudzy szli dopiero do szynku. Wszyscy patrzeli hardo i zuchwale, a niektórzy nawet tak gburowato odzywali się o jeźdźcach, że można było łatwo poznać, jak nie są przyzwyczajeni do żadnej karności.

---

1) Był to człowiek mający lekkie pomieszanie zmysłów. Ludzie tacy, według ówczesnych mniemań, znajdowali się pod szczególną opieką Boską, tak że naród uważał ich za świętych. (P. T.)

V.
Spotkanie.

Jadąc konno nad brzegiem rzeki Moskwy można było widzieć cały sad Morozowa.

Bojar Morozow już z godzinę odpoczywał w swej sypialni. Helena z dziewczętami siedziała pod rozłożystemi lipami na darniowej ławce. przy samym częstokole.

Helena zdawała się być wesołą; śmiała się i żartowała z dziewczętami.

W tej chwili rozległ się tętent koński i biała czapka Srebrnego pokazała się nad częstokołem.

Ujrzawszy mężczyznę, Helena chciała się schować, ale rzuciwszy jeszcze raz spojrzenie na jeźdźca stanęła jak wryta; Srebrny także zatrzymał konia. Nie wierzył swym oczom. Tysiące myśli w jednej chwili cisnęły się do jego głowy, jedna zbijając drugą.

Widział przed sobą Helenę, córkę Pleszejewa Oczyna, tę samą którą kochał i która pięć lat temu przysięgała mu miłość wzajemną. Ale jakiem zrządzeniem znalazła się w ogrodzie bojara Morozowa?

Teraz dopiero Nikita Romanowicz dostrzegł na jej głowie kok... Ona jest zamężną!...

— Czy to na jawie — pomyślał utkwiwszy w niej nieruchomy wzrok — czy ja majaczę? czy to we śnie?

— Dziewczęta! prosiła Helena rozpaczliwym głosem, odejdźcie! ja was zawołam, zostawcie mnie samą. Boże mój! Boże mój! święta Bogarodzico! co czynić? co mówić?

Srebrny przez ten czas przyszedł do siebie.

— Heleno Dymitryewno! — rzekł stanowczo — odpowiadaj jednem słowem: tyś zamężna? To nie na jawie? Nie żart? Rzeczywiście wyszła za mąż?

Helena w rozpaczy szukała słów; nie mogła ich znaleść.

— Odpowiadaj, Heleno!

— Wysłuchaj mię, Nikito Romanowiczu, wyszeptała.

Książę zadrżał.

— Nie mam co słuchać, zrozumiałem wszystko. Nie trać słów nadaremnie; żegnaj bojarko.

I szarpnął konia w tył.

— Nikito Romanowiczu! — krzyknęła Helena — błagam cię na Boga i Jego Matkę; wysłuchaj mnie! zabij potem, ale wysłuchaj!...

Nie mogła mówić, głos jej zamarł; padła na darniową ławkę i wyciągnęła błagające ręce do Srebrnego.

Dreszcze przebiegły po całem ciele księcia; litość drgnęła w sercu jego. Zatrzymał się.

Helena łkając zaczęła opowiadać jak ją prześladował Wiaziemskij, jak w końcu car miał ją przymusić do wyjścia za swego oblubieńca, i jak w rozpaczy oddała się staremu Morozowowi. Przerywając swe opowiadanie głośnem łkaniem prosiła o przebaczenie za mimowolną zdradę, mówiła, że powinnaby była prędzej pozbawić się życia, niż wyjść za drugiego, i przeklinała swój słaby charakter.

— Ty nie możesz mię kochać. książę — dodała w końcu. — Nie twoje przeznaczenie kochać Helenę Dymitryewnę; ale powiedz że mnie nie przeklniesz, że mi przebaczasz wielką moją winę.

Książę słuchał, ale nic nie odpowiadał.

— Nikito Romanowiczu! na Boga! powiedz choć słówko!

Ogromna walka miotała Srebrnym.

— Bojarko — rzekł w końcu drżącym głosem — widać taka wola Boża i ty nie jesteś tak winną . tak ty nie jesteś winną... nie ma ci czego przebaczać... nie... Bóg świadkiem nie przeklinam.... Bóg świadkiem ja kocham cię jak dawniej.

Helena krzyknęła radośnie, otarła łzy i pobiegła do częstokołu.

W tej chwili i książę podniósł się na strzemionach i uchwycił się za słupki ogrodzenia. Helena z drugiej strony już stała na ławce. Bez namysłu, nie wiedząc co czynią, znaleźli się tak blisko siebie, iż usta ich się złączyły.

Pocałowała Helena Dymitryewna młodego bojara. Oszukała chytra żona starego męża. Złamała przysięgę daną przed Bogiem! Jak się teraz pokaże Drużynie Andrejewiczowi! Domyśli się stary wszystkiego z jej oczu. A nie taki to mąż żeby jej

przebaczył. Zabije stary bojar żonę, zabije i Nikitę Romanycza!

VI.
Przyjęcie.

Morozow znał księcia jeszcze dzieckiem, ale bardzo dawno już go nie widział. Kiedy Srebrny wyruszył na Litwę, Morozow był na województwie gdzieś daleko, nie widzieli się już przeszło dziesięć lat, ale Drużyna Andrejewicz mało się zmienił. Rzeźkim był jak dawniej i książę od razu by go poznał wszędzie, bo stary bojar należał do tych ludzi, których oblicze długo tkwi w pamięci.

— Witaj książę, witaj gościu drogi! jakże się miewasz? — mówił Morozow wprowadzając Srebrnego do dużej izby.

— Witaj, witaj, książę! Jakim gościem Bóg mnie obdarzył! A pamiętam cię Nikituszka jeszcze jakeś był maleńkim. Ale byłeś też zuchem, niech cię nie znam! Jakeście się bawili w fortecę, biada tej stronie, która była przeciwko tobie. Rozlatałeś się jak sokół, a jak zagrała w tobie krew młoda, rozzłościłeś się jak mały niedźwiadek, nie gniewaj się Nikito Romanowiczu za to słowo i począłeś rzucać tego w prawo, tego w lewo, aż miło było patrzeć! No i wyrosłeś na zucha, książę, słyszałem jakeś się sprawiał na ziemi Litewskiej.

Morozow wesoło się uśmiechał i lwia twarz jego lśniła z radości.

— A pamiętasz, Nikituszka, ciągnął dalej, objąwszy księcia jedną ręką za ramię — pamiętasz, jakeś w żadnej zabawie nie cierpiał oszukaństwa! Jak się z kim zacząłeś mocować, prędzej dałeś się powalić na ziemię niż komu nogę miałbyś podstawić lub zrobić coś przeciw umowie. Wszystko znosiłeś, ale podstępnym ani sam nie byłeś, ani drugim być nie pozwalałeś.

Książę czuł się skrępowanym w obecności Morozowa.

— Bojarze, powiedział, oto papiery od księcia Prońskiego.

— Bóg zapłać, książę, później przeczytam, teraz nie ma czasu. Pozwól, niech cię czem przyjmę wprzódy. A gdzież Helena Dymitryewna? Hej, kto tam! Powiedzcież żonie, że mam drogiego gościa, księcia Nikitę Romanowicza Srebrnego; niech przyjdzie go powitać.

Cicho i niepewnym krokiem weszła Helena z tacą w ręku. Na tacy znajdowały się kubki z różnemi winami. Helena nizko skłoniła się Srebrnemu, jakby go dopiero pierwszy raz widziała.

Była śmiertelnie bladą.

— Książę — powiedział Morozow — to moja gosposia Helena Dymitryewna; szanuj ją, przecież jesteś prawie naszym krewniakiem. Twój ojciec i ja żyliśmy zupełnie jak bracia i żona moja niech nie będzie dla ciebie obcą. Tak Heleno, proś bojara! Jedz książę, nie gardź naszym chlebem i solą. Czem chata bogata — tem rada. Oto węgier, to szampan, a to nalewka malinowa; sama gosposia przyrządzała.

Morozow nizko się kłaniał.

Książę także się odkłonił i wypróżniał kubek.

Helena nie spojrzała na Srebrnego; długie jej rzęsy były spuszczone; drżała... i kubki na tacy dzwoniły jeden o drugi.

— Co ci jest Heleno? — spytał nagle Morozow. — Twarz twoja bielsza od śniegu, Helenko — dodał po cichu — czy nie przejeżdżał czasem Wiaziemskij? — Tak, widać ten czort przejeżdżał koło sadu! Nie martw się Heleno, to nie twoja wina. Beze mnie nie chodź lepiej do ogrodu! Pociesz się dziecko, nikomu nie dam cię skrzywdzić. Uśmiechnij się Heleno, będzie weselej bo... — Przecież książę obiadu jeszcze nie jadłeś?

— Dziękuję, bojarze, już...

— To nic, Nikito Romanowiczu, zjesz jeszcze raz. Idź Heleno, postaraj się, żeby prędzej był gotów. A ty, książę, zakąś tymczasem, co Bóg dał, nie obrażaj starego bojara i tak już zmartwionego — dodał Morozow, wskazując na swe długie włosy.

— Widzę bojarze, widzę i oczom nie wierzę; tyś w "opale" i za co? przebacz nieskromne pytanie.

— Za to, że się trzymam starego zwyczaju, bronię bojarskiego honoru, nie kłaniam się nowym ludziom...

Przy tych słowach twarz Morozowa posmutniała i wyraz oczu stał się srogim.

Opowiedział o swej sprzeczce z Godunowem, głośno narzekając na niesprawiedliwość cara.

— Inaczej teraz w Moskwie, niż było dawniej. Inaczej od tego czasu, jak car otoczył się opricznikami.

— A cóż to za opricznictwo? Spotykałem tych opriczników, ale nic nie rozumiem, co oni mają za znaczenie.

— Widać, żeśmy rozgniewali Boga, Nikito Romanyczu, zaćmił On jasne carskie oczy! Jak zwalili potwarcy zdradę na Sylwestra i na Adaszewa, jak wygnał ich car od siebie, nastały i dla nas dni czerwone. Zaczął car Iwan i nas, niewinne sługi jego, podejrzywać o zdradę, o knowania, czego i na myśli człekowi nie było. A nowi ludzie się ucieszyli i dalejże donosić na nas bojarów i car słuchał każdego. Kto miał złość jaką do drugiego dalejże podszczuwać na niego, że mówił źle na cara, że chama albo króla buntuje. I ci opętańcy, nie bojąc się strasznego sądu boskiego, przysięgali na to i krzyż fałszywie całowali. Wielu niewinnych ludzi do ciemnic wpakowano i wielu, Nikito Romanowiczu, okrutnie dręczono.

Car wierzy każdemu słowu, aby było na bojara. Dawniej, jak kto doniósł na ciebie musiał ci tego dowieść, a teraz powie — łapią i męczą. Ciężkie nastały czasy! car taki strach sieje, jakiego nigdy jeszcze nie było. Później poczęli karać śmiercią. I kogóż tracono?!... Ale ty, książę, może o tem słyszałeś?

— Słyszałem bojarze, ale nie wszystko. Nie prędko wieści sięgają Litwy. Wreszcie cóż się dziwić! car ma prawo karać przestępców.

— Czyż jest kto przeciw temu? Na to car, żeby karał i nagradzał, tylko to bieda, że nie złych tracono, ale wiernych sług carskich. Adaszewa (brata Aleksieja) z małoletnim synem i trzech Satinów i Jana Szyszkina z żoną i dziećmi, i wielu jeszcze innych niewinnych!...

Oburzenie przebiego po twarzy Srebrnego.

-- Bojarze, to widać nie car jest winnym, ale jego zausznicy.

-- Oh książę, trudno wymówić, strach pomyśleć! Nietylko przez szepty zauszników zaczął car przelewać krew niewinną. Na przykład Basmanów, nowy krajczy carski, bił czołem przed carem na księcia Obolenskiego Owczynę, że ten niby coś złego zamyśla. Cóż car zrobił? Podczas obiadu własną ręką przebił mu nożem serce.

— Bojarze, gdyby mi kto inny mówił, nazwałbym go potwarcą; sambym się z nim rozprawił.

— Nikito Romanyczu, stary ja jestem dla obmowy; i kogóż obmawiać, własnego cara?!

— Przebacz, bojarze, ale cóż myśleć o takiej przemianie cara? chyba go opętali!

— Widać opętali! Ale siadaj i posłuchaj dalej. Innego razu car Iwan upiwszy się, zaczął (strach pomyśleć)! ze swymi ulubieńcami tańczyć w masce. Był tam wtedy bojar kniaź Michał Repnin; zapłakał ze zmartwienia. Car dalejże i na niego wkładać maskę. — Nie — powiedział Repnin — nie dam bezcześcić swego bojarskiego honoru — i rozdeptał maskę nogami. Za pięć dni został zabitym w cerkwi z rozkazu cara.

— Bojarze, to kara Boska.

— Niech się stanie święta wola Jego, książę, ale słuchaj dalej. Traceniom nie było końca. Z każdym dniem coraz więcej ciekło krwi i na rynku, i w więzieniach, i w klasztorach. Każdego dnia łapali bojarskich sług i męczyli. Wielu z nich torturowanych w ogniu fałszywie zeznało przeciw swym panom; ci zaś, co nie chcąc oddać duszy na dno piekielne, nic na nich nie mówili, sami byli męczeni i w mękach umierali. Wielu wolało umierać w prawdzie i przyjąć wieniec męczeński. Nikito Romanowiczu! czasami car niby się upamiętywał i pokutował, i modlił się, i płakał, i sam nazywał się katem obmierzłym i ścierwojadem. Rozsyłał pieniądze po różnych klasztorach i kazał odprawiać żałobne nabożeństwa za zabitych. Pokutował car Iwan Wasiliewicz, ale niedługo i oto co wymyślił! Słuchaj książę! Przebudzam się pewnego poranku i widzę wielki popłoch. Naród biegnie po ulicach, jedni do Kremlu, drudzy z Kremlu. Wszyscy krzyczą: "Odjeżdża car,

nie wiadomo dokąd". Dreszcz przebiegł po mem ciele. Ubieram się, siadam na koń; ze wszystkich stron biegną do Kremlu bojarzy, jedni konno, drudzy pieszo, nie zważając że to ubliża ich godności. Pobiegliśmy do bramy Iwerskiej; widzimy — świta wyjeżdża, naród płacze. Za świtą sanie, w nich car, caryca i carowicz; dalej wiele bardzo innych sani, a w nich cały carski dobytek. Rzuciliśmy się do carskich sani, ale dworacy nie dopuszczają, mówiąc: nie każe car. Długo czekaliśmy, czy się car nie rozmyśli i nie wróci. Przechodzi tydzień, otrzymuje duchowieństwo wiadomość; pisze car: "z wielkim bólem serca, nie mogąc zcierpieć waszych knowań, porzucam swe państwo i jadę, gdzie Bóg wskaże mi drogę." Jak się ta wieść rozniosła po Moskwie powstał płacz wielki w całem mieście: porzucił nas batiuszka car! Kto teraz będzie rządził w naszym kraju?!

Nie ma co taić, strasznym był Iwan Wasiliewicz. Sam Bóg postawił go nad nami i widać ze swej Bożej woli dla zmycia grzechów naszych karał nas. Zebraliśmy się na dumie [1]) i postanowili wszyscy jechać ze swoimi starszymi po cara — bić prze nim czołem i płakać.

Car zatrzymał się w Aleksandrowskiej Słobodzie, ztąd przeszło ośmdziesiąt wiorst. Pomodliwszy się, pojechaliśmy. Ujrzawszy zdala Słobodę, zatrzymaliśmy się. Strach nas ogarnął nie dla tego, że car może nas skazać na śmierć, ale dla tego, że może nie dopuścić przed swoje oczy. Jednak nic złego się nie stało. Car nas dopuścił do siebie. Jakeśmy weszli, czy uwierzysz książę, nie poznaliśmy cara Iwana Wasiliewicza! I twarz nie jego, i włosy i broda zupełnie wyszły. Co się z nim stało? i car i nie car. Długo mówił z nami, obwiniał nas o niebywałe zdrady, wyliczał nasze winy, o których się nam ani śniło i w końcu powiedział, że tylko na usilne prośby duchowieństwa będzie nad nami panował, i to jeszcze z wymówieniem sobie pewnych warunków. W końcu pozwolił pocałować się w rękę i odprawił.

— A jakież warunki wymówił sobie? — zapytał Srebrny.

— A oto zaraz zobaczysz książę, słuchaj! Po upływie trzech tygodni od owej chwili przybył Iwan Wasiliewicz do Moskwy. Nastała radość wielka, taka radość, jakiej nawet nie bywa w dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Zawezwał na dumę i nas i duchowieństwo. A gdyśmy się zebrali, powiedział nam: "Dla tego tylko będę panował, żeby wytępić swych zdrajców do ostatka. Biorę sobie straż ochronną i na swój własny dochód różne miasta i przedmieścia, a w samej Moskwie niektóre ulice. I te miasta i te ulice i tę straż swoją nazywam *oprycznictwem*. A bojarom i metropolitom nie wolno się do mnie wtrącać. Na takich tylko warunkach będę panował!" Od dnia tego zaczął wybierać sobie nowych ludzi i tylko takich, którzyby nie byli wysokiego rodu i którzyby całowali krzyż, że będą zaklętymi wrogami bojarów. Oddał im wszystką ziemię, wszystkie domy i wszystko to, co wziął na swój dochód a dawnych starych dworzan w liczbie blizko 2000 wygnał z oprycznictwa. Doprawdy, Nikito Romanowiczu, widziałem to na własne oczy, a wierzyć mi się jakoś nie chce. Jeżdżą teraz po Rusi te krwiożercze pułki z miotłami i psiemi łbami; depczą prawdę, wymiatają nie zdradę ale uczciwość ruską, gryzą nie wrogów carskich, ale wierne sługi jego i nie masz na nich nigdzie ani sądu ani sprawiedliwości.

— I dla czegóż zgodziliście się na takie warunki? — wtrącił Srebrny.

— Co mówisz, książę? alboż carowi można rozkazywać? alboż on nie od Boga?

— Prawda, że od Boga, ale przecież sam was o to pytał; dla czegóż nie powiedzieliście mu, że nie chcecie oprycznictwa?

— A jakby znów odjechał? Cóż wtedy? bez cara zostawać? a naród coby powiedział?

Srebrny się zamyślił.

— Tak — rzekł po chwili — bez cara być nie można Ale teraz na cóż czekacie? dla czegoż nie powiecie, że od oprycznictwa ginie cała ziemia? Dla czegóż patrzycie na wszystko w milczeniu?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

1) Rada. (P. T.)

MŁYNARZ I JEGO DZIECKO,

— CZYLI —

WĘDRÓWKA DUCHÓW W NOCY BOŻEGO NARODZENIA.

POWIEŚĆ, OSNUTA NA TLE PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

(Ciąg dalszy.)

Uradowany Widlarz poszedł do swej izby na śniadanie i zaledwo usiadł przy stole, wszedł po zapukaniu do drzwi starszy już ponury mężczyzna z siwą brodą, osłoniony płaszczem i powitał uprzejmie gospodarza słowy: "Dzień dobry — żegna Bóg do śniadania!"

Młynarz podał przybyszowi rękę i rzekł: "Dobrze, że przychodzisz Kasprze! połowę nocy spać nie mogłem. Odrobina ziemi, którą mi dałeś, musiała już wyschnąć — może mi świeżą przynosisz.?"

"Tak, majsterku!" — odrzekł Kasper, który był grabarzem — "w tym tutaj woreczku znajdziecie, czego sobie życzycie — jest tam ziemia z świeżo wykopanego grobu niemowlęcia. Garść tej ziemi, posypana pod wezgłowie wystarczy całkiem do usunięcia złego na zawsze. Gdyby to nawet, czego nie przypuszczam, miało nie skutkować, wiem o innym nieomylnym środku. Boże narodzenie już przed drzwiami — otóż pójdziecie ze mną we wigilią o północy na cmentarz. Ja wam odkopię który grób, a wy sobie potrzecie skroń wyrzuconą ziemią — ten środek jeszcze nikogo nie zawiódł."

Zabobonny młynarz słuchał z natężoną uwagą, a jego wewnętrzny niespokój odbijał się mu na bladej twarzy. "Hm, jużci poszedłbym" — rzekł on lękliwie — "w noc Bożego narodzenia na cmentarz, ale słyszałem, że się tam o północy pokazują dusze tych, którzy za rok mają umrzeć, dreszcz mnie przejmuje. Mógłbym w końcu ujrzeć tam znajomego przed sobą, albo (tutaj stanęły mu włosy na głowie) — nawet samego siebie..."

"Nie lękajcie się zanadto" — odrzekł Kasper — "w kwadrans po dwunastej — kończy się to zjawisko duchów. Dopiero wtedy wejdziemy cmentarną furtką; a zobaczycie majstrze! że wówczas będzie wszystko na mogiłach cichutko, jakby makiem zasiał. A więc przyrzeczcie mi, a ja po was o tym czasie przyjdę." Po danej obietnicy i pożegnaniu równie zabonnego grabarza udał się Widlarz małymi drzwiami z izdebki do młyna burzącego, aby, jak się wyraził, nie próżnować, nie trwonić drogiego czasu.

IV.

Kiedy Wiesław matkę uspokoił opowiedzeniem jej całego zajścia w młynówce, a ona się na spoczynek udała — popadł on sam w ponurą zadumę. W końcu wydobył fletnię z kieszeni i zaczął na niej smętnie przygrywać; potęga gędźby ukoiła wkrótce boleść jego serca — ujęty snem zapomniał biedak niebawem o smutnej rzeczywistości. Atoli już raniutko nazajutrz czekał go nowy smutek -- ujrzał on przed sobą znany Czytelnikowi list Halki, które matka przed nim na stole położyła. Poznał on pismo swej dziewczyny kochanej, przeczytał je kil-

ka razy i zalał się łzami gorzkimi.

"Czytaj sama matulu!" — zawołał na widok wchodzącej matki — "los mój rozstrzygnięty: muszę się ztąd natychmiast wydalić! Halka sama prosi mnie o to, gdyż nam nie zawita nadzieja połączenia się!"

Po tych słowach zabrał natychmiast podróżny tłumok, pożegnał matkę serdecznie i zalany łzami rzucił się do drzwi... Po raz drugi wybrał się w daleki świat biedny młodzieniec — szedł drogą, a w jego duszy zamieszkał nieutulony smutek -- nie przyświecała mu już żadna życzliwa gwiazda nadziei! Nigdzie nie znachodził on wytchnienia i spokoju — nigdzie długo nie posiedział. Oczy jego zapadły w głąb głowy, posiniały usta — twarz niby u trupa pobladła! Tylko silna natura powstrzymała go jeszcze od otwartego grobu... Wędrował tak, nie wiedząc, jak i dokąd, i przybył w drugim tygodniu do Morawy, gdzie u pewnego młynarza służbę przyjął. Wkrótce atoli zaczęli się go lękać i majster i czeladnicy, a to z powodu jego ponurości i tajemniczego zachowania się — i jakkolwiek był dzielnym robotnikiem, dano mu do zrozumienia, że się nie nadaje do ich towarzystwa. Wiesław musiał się też wkrótce z nimi rozstać.

Wyszedłszy tedy za wieś, usiadł na ławie pod drzewem, a ponieważ po stepie dął wiatr mroźny, osłonił się staranie płaszczem, podczas gdy po jego twarzy obfite łzy płynęły. Zdawało się mu, jak gdyby miał umrzeć — a przecież umrzeć nie mógł. Postradał on Halkę, przynajmniej na czas, jak długoby jej ojciec żył jeszcze.

Nagle naszła go niepohamowana tęsknota za oblubienicą: raz jeszcze chciał ją widzieć — niewidziany od ludzi, a nawet od niej samej. Zamiar ten postanowił urzeczywistnić w nocy Bożego Narodzenia.

Jest bowiem jak w całej Polsce i w rodzinnym kraju Halki zwyczaj udawania się w tę noc na mszą św. Halka przestrzegała zawsze święcie tego zwyczaju. Wiesław postanowił tedy powrócić, a wtenczas byłoby dlań łatwem, widzieć ją jeszcze raz, wychodzącą z domu, gdyby ją był śledził z gospody, która leżała naprzeciw młynówki. Jak pomyślał, tak i uczynił. Uderzyła na wieży ósma godzina wieczorna we wigilią — kiedy stanął u celu.

Dokoła panowała głęboka cisza i tylko z okien jaśniały oświecone drzewka Bożego Narodzenia, które nieszczęsnemu przypominały słodkie, niebiańskie dni dzieciństwa. Wiesław wszedł tedy do gospody pod "Krakusem" i kazawszy sobie dać kubek wina usiadł przy małem okienku, zkąd można było widzieć każdego, kto z przeciwległej młynówki wychodził, lub tamże wchodził, gdyż między nią a gospodą zwieszała się duża świecąca wiejska latarnia. Gospodarz podał Wiesławowi wina i zwrócił się następnie do żony, która z dziećmi około drzewka stała i w nadmiarze domowego szczęścia zaledwie na przybysza popatrzyła. Wybiła godzina dziewiąta, dziesiąta — a milczący Wiesław patrzał ciągle nieruchomo na młynówkę; kilka razy zdawało się mu, że tam w oświetlonej izdebce zobaczył cień Halki... Gospodyni tymczasem udała się z dziećmi na spoczynek, a gospodarz miał się właśnie przysiąść do stołu Wiesława, gdy nagle wszedł grabarz Kasper, którego się gospodarz zaraz uczepił. Wkrótce zawadziła rozmowa o upiory... Gospodarz odgrywał rolę niewiernego Tomasza — inaczej pojmował rzecz Kasper.

"Wiedźcie tylko, że i na naszem cmentarzu jakieś licho broi i to właśnie w świętej nocy Bożego Narodzenia. Nie uwierzylibyście, co się tam w tej nocy dzieje, i założyłbym się, iżbyście nie mieli ochoty, patrzeć na te rzeczy własnemi oczyma. Oto lat temu czterdzieści — wyście wtedy jeszcze w pieluchach leżeli — szedłem sobie ścieżką do domu około trzech kwadransy na dwunastą. Było zimno — nałożyłem sobie tedy lulkę, skrzesałem ognia, ale hubka nie chciała się zapalić. Dałem tedy pokój tej robocie i zacząłem zacierać zziębnięte ręce i tak dostałem się zwolna pod mur cmentarny, który, jak wiecie, tak jest nizki, że człowiek i średniego wzrostu łatwo przezeń może widzieć, co się na cmentarzu dzieje. Miałem właśnie przed oczyma naprzeciwległą cmentarną furtkę; a kaplica stała odemnie może o 4 kroki w obrębie murów, kędy miałem przechodzić. Noc była ciemniuteńka, że oko wykol, a wiejski zegar wybił właśnie

północ, kiedy się z trzaskiem, na którego wspomnienie jeszcze dzisiaj dreszcz mnie przechodzi — otwarła furtka cmentarza, a ja przed sobą straszny pochód duchów, w śmiertelnych powiewających koszulach ujrzałem. Wszystkie widma były blade jak śmierć, z wytrzeszczonymi oczyma i świecami w ręku kroczyły ku cmentarnej kaplicy... Pochód ten trwał około dwóch lub trzech minut i składał się z 16 dorosłych postaci i 6 — 8 dzieci różnej wielkości. Ja zaś ich wszystkich poznałem i to właśnie było rzeczą najtrudniejszą do pojęcia i najstraszniejszą. Były to same żyjące osoby z naszej wsi, był tam nawet wasz stryj Miotełka... ale słuchajcie dalej: kiedy oprzytomniałem ze strachu, począłem myśleć, że mi figla spłatano, co tem śmielej mogłem przypuszczać, ponieważ między tymi nocnymi wędrowcami znajdował się niejeden żartowniś. Ponieważ atoli w ich gronie ujrzałem samego księdza proboszcza i kilku pobożnych ludzi, powątpiewałem znowu o tem i postanowiłem dla upewnienia się, zejść na dół do kościoła, gdzie właśnie pasterska msza się odprawiała, i zobaczyć, czy sam nie ujrzę żadnego z tych, którzy dopiero co jako duchy na cmentarzu kroczyli. Biegłem, co tchu starczyło, a kiedym wszedł do kościoła, śpiewał właśnie ksiądz proboszcz psalm swym dźwięcznym głosem; a z przodu pod amboną klęczał wasz stryj Wojciech, modląc się z nabożeństwem. Jednem słowem — widziałem tam wszystkich, którzy przed kilkoma minutami na cmentarzu ów pochód, pełen grozy razem odbywali: wójtownę Marylkę, Góralczyka, garbatą Małgorzatę, Janka kramarza itd. Wszyscy oni zgromadzeni byli w kościele i tak się nabożnie modlili, że niepodobnie było myśleć o bezbożnym żarcie. Ale słuchajcie dalej: zanim tydzień minął — umarł Góralczyk i pochowałem go na wieczny spoczynek. W dzień Trzech Króli przeniosła się do wieczności wójtowna i tak w przeciągu roku poumierali wszyscy owi, których widziałem kroczących w pochodzie nocnym we wigilią. Przyszła wreszcie kolej i na księdza proboszcza — Boże świeć jego duszy! — bo to był zacny kapłan.

Dowiedziałem się tedy o wszystkiem: w nocy Bożego Narodzenia odbywają pochód do cmentarnej kaplicy mimo wiedzy wszyscy, którzy w przeciągu roku mają umrzeć. Chciałem później powtórnie przypatrzyć się takiemu pochodowi duchów — ale to rzecz drażliwa: możnaby np. ujrzeć w nim siebie samego: hu! dreszcz mnie przejmuje na samą myśl, iżby to mogło nastąpić..." Tutaj uderzyła jedenasta godzina na wieży kościelnej; a Kasper opuścił gospodę.

Wiesław, który nie zwracał oka z okna ujrzał, jak grabarz w młynówce zadzwonił a potem do niej otworzonymi drzwiami wstąpił. Wkrótce potem wyszły z domu wójtowna i Halka z różańcami w ręku. Halka była blada i poważna jak anioł. Wiesław zadrżał z rozkoszy na jej widok i wyszeptał mimowolnie kilka razy jej słodkie imię tak, że to nawet sam gospodarz zauważył. Dzwony teraz zwoływały na pasterkę — północ była niedaleka. Wiesław rzucił na stół talara i osłoniwszy się dobrze płaszczem wypadł z gospody. Dospodarz potrząsnął głową i mruknął: "Jeśli istnieje jakie widmo w nocy Bożego Narodzenia, to niem jest z pewnością ten tajemniczy przybysz.

Wiesław pospieszył ustronną ścieżką na cmentarz i szepnął: "Muszę wiedzieć kto odbywa pochód do cmentarnej kaplicy, muszę dowiedzieć się, kto umrze — ach, gdyby się wyniósł tylko młynarz na drugi świat, wówczas zakończyłyby się wszystkie moje cierpienia, Halka moja byłaby znowu wolną, a ja...!" Tutaj zaczął się śmiać wesoło. Tymczasem przybył pod cmentarz — lecz furtka była mocno zamknięta. Nie namyślając się długo przeskoczył przez mur i wyszukał sobie na stanowisko najdogodniejsze miejsce za pomnikiem na grobie zmarłego wójta na środku cmentarza, zkąd wszystko naokoło mógł najlepiej widzieć. Noc była ciemna i mroźna — lecz Wiesławowi płynął strugami pot po czole i licach, jego członki trzęsły się kurczowo. W tem uderzyła na zegarze północ. Zaledwo głos dzwonu przebrzmiał, odskoczyła cmentarna furtka, a na jej progu pojawiła się pierwsza postać z migotającą się świecą umarłych w ręku — był nią młynarz Marcin Widlarz! Osobliwsze uczucie przestrachu i radości przeszyło pierś Wiesława: "Ha, to on" —

zawołał — "Halka będzie wolną!" Patrzał za widmem tak długo, aż znikło w cmentarnej kaplicy; a jego uwaga była tak dalece skupiona, iż wcale nie zauważył towarzyszów młynarza. Dopiero kiedy mu znikł tenże z oczu, spostrzegł inne osoby. Nagle wyrwał się z jego piersi okrzyk trwogi — w pochodzie duchów ujrzał on Halkę, która nań poważnie i z wyrzutem patrzała i ani na chwilę oka od niego nie odwróciła. "Halko, Halko!" — zawołał, łkając w najwyższem wzruszeniu i chciał pospieszyć za widmami do kaplicy, ale drzwi się zawarły — a całe zjawisko znikło. Miotany boleścią i rozpaczą wcisnął głowę między żelazne kraty drzwi, jak gdyby się chciał przemocą dostać do kaplicy. Teraz posłyszał znowu, jak zaskrzypiała furtka cmentarza; a potem zbliżały się dwie postacie. Było zupełnie ciemno — Wiesław nie mógł niczego rozróżnić. Powstrzymał oddech — przybysze przeszli blizko koło niego. Wreszcie jeden z nich młynarz — przerwał milczenie i rzekł do towarzyszącego mu grabarza: "Tak, tak: uzdrów mnie: nie chcę tak wcześnie umierać — nie, nie, nie!" Mówiąc to potrącił w przechodzie o ciało Wiesława, który tam skurczony klęczał. Wiesław, który głos młynarza poznał, zerwał się z przerażeniem na nogi i odskakując zawołał: "Nie tykaj mnie ponury upiorze! czy jeszcze nie skończyłeś swej wędrówki — do grobu z tobą — do grobu!" Rzekłszy to odbiegł Wiesław niby ścigana zwierzyna.

Młynarz, któremu wobec okropnych słów Wiesława włosy na głowie stanęły, zawołał żałośnie: "Wiesław, Wiesław: on widział umarłych — on i mnie widział!" i upadł na wznak jakby porażony w ramiona grabarza. Uderzyła godzina pierwsza — przeminęła noc Bożego Narodzenia.

V.

O pierwszej godzinie po północy zaczęły zaciekle ujadać brytany w młynówce: zbliżały się ku domowi ciężkie kroki mężczyzny — był to grabarz, który z ciałem ciągle jeszcze nieprzytomnego młynarza do młynówki przybył i wstępu żądał. Parobcy, którzy natychmiast z latarkami nadbiegli, przerazili się nie mało niespodziewanym widokiem. Zaniesiono chorego do łóżka, do którego przystąpiła właśnie śmiertelnie przestraszona Halka, kiedy jej ojciec znowu po raz pierwszy oczy otworzył. Kiedy córkę zobaczył, krzyknął gwałtownie: "Aha, toś ty tutaj zdrajczyni? precz, precz mi ztąd; twój kochanek mnie zamordował!" Po tych słowach popadł Widlarz napowrót w omdlenie — Halka okrywała jego twarz pocałunkami. Lecz słowa ojca zrozumiała ona dopiero wtenczas, kiedy jej grabarz opowiedział dokładnie o całem nocnem zajściu na cmentarzu. Przywołany lekarz zapisał choremu lekarstwo; lecz nie czyniąc żadnej nadziei polecił przygotować go na śmierć blizką.

Tymczasem przejęty zgrozą Wiesław pędził jak szalony ku domowi matki. Właśnie chciał drzwi otworzyć, kiedy się stara Toporkowa, powracająca z pasterskiej mszy do mieszkania zbliżyła. "Na Boga!" — zawołała ona na widok niespodziewanego przybysza — "czy to ty jesteś, mój synu, czyli duch twój?"

"Ja — żywiuteńki" — odrzekł cicho Wiesław — "proszę cię matko, otwórz mi prędko, aby nas nikt nie spostrzegł! Z bijącem sercem wprowadziła matka do izby syna, którego twarz była blada jak u trupa, a oczy zakopane głęboko w głowie. Po krótkiem wytchnieniu opowiedział on matce wszystko, czego dożył od czasu oddalenia się z jej domu. Wdowa oniemiała ze strachu i zadziwienia; Wiesław zaś oświadczył jej, że zaraz jutro o świcie opuści ją i pójdzie chociażby na koniec świata!

Za poradą matki postanowił jednak uczynić to kilka dni później, z nowym rokiem rozpocząć nowe życie i przytłumić w duszy wszelkie myśli ziemskie.

W dzień atoli św. Sylwestra umyślił jeszcze zakraść się do ogrodu młynarza i czekać pod oknami Halki, ażeby w oświeconem oknie jej luby cień zobaczył — potem miał okolicę na zawsze opuścić.

Nadszedł wreszcie wieczór św. Sylwestra. Widlarz, który uczuł zbliżający się koniec życia, wydalił otoczenie z swej izby, tłuma-

cząc, iż zamyśla zrobić testament. Kiedy się wreszcie sknera sam ujrzał, powstał, zawlókł się do drzwi, zaryglował je; a ubrawszy się otworzył dużą skrzynię, stojącą tuż u jego łóżka. — Oczy jego zabłysły, zanurzył obie ręce w swe skarby i przetrząsnął je z rozkoszą. Nagle zmieniły się rysy jego twarzy — prawie z płaczem zawołał: "I to szlachetne złoto, to świetne srebro mam pozostawić, skoro siły całego życia na ich zdobycie stargałem. Pieniądze te mają się dostać mym spadkobiercom — moja wyrodna córka ma nimi obdarzyć żebraka... Nie, nie: niechaj żebrze po mojej śmierci, niechaj głód znosi, kiedy legnę w grobie. Ach, gdybym też mógł jeszcze jeden roczek nazywać te wspaniałe skarby moją własnością — niestety! to być już nie może, muszę ich odejść i to wkrótce!" Po tych słowach napełniając sknera pieniędzmi z skrzyni kilka próżnych woreczków, a przytknąwszy ucho do drzwi i przekonawszy się, że wszędzie cichutko, zważył na ręce jeden woreczek po drugim i zawołał: To za ciężkie dla mnie charłaka, nie uniosę wszystkich naraz, muszę dwa razy chodzić tak, tak: pierwszy raz wezmę te 3 woreczki srebra, drugi te dwa złota." Następnie wziąwszy z sobą rydel i 3 woreczki ze srebrem na plecy otulił się kożuchem i chwiejnym krokiem wyszedł z domu tylnemi drzwiami. "Wszystko na około cichutko" — szepnął sknera zadowolniony — "i księżyc tylko słabo świeci — zaledwo widzieć coś można na 6 kroków przed sobą — to dobrze!" Złożywszy spokojnie rydel i woreczki na ławkę obok furtki warzywnego ogrodu udał się znowu do izby po złoto.

Tymczasem przybył i Wiesław pod młynówkę dla pożegnania Halki. Jeden rzut oka na jej okno przekonał go, że jeszcze czuwa — przez okno jej padał blask świecy na ulicę. Halka klęczała, modląc się gorąco ze łzami w oczach. I Wiesław złożył ręce; ukląkł na zmarzniętej ziemi i modlił się wespół.

W tem otwarły się tylne drzwi młynówki; a przez nie wyszła jakaś postać, pełna grozy. "To z pewnością złodziej!" pomyślał sobie Wiesław i postanowił, iść za podejrzanym i pochwycić go. Kiedy więc księżyc za chmury zaszedł, a sknera gorliwie skarby w ziemię zakopywał, uderzył go Wiesław silnie po ramieniu i zapytał: "Kto tu?" — "Ha, to śmierć, to śmierć!" krzyknął przerażony młynarz i runął na wznak na ziemię — aby już nigdy nie powstać.

"Boże, to młynarz, ratunku, ratunku!" zawołał w rozpaczy Wiesław, poznawszy teraz Widlarza, którego wziął w swe objęcia. Z nadbiegającą czeladzią przybyła natychmiast i Halka i rzuciła się na martwego ojca, biadając w niebogłosy. Wiesław, który tego widoku dłużej znieść nie mógł, zerwał się na nogi i zawołał stłumionym głosem: "To ja go zabiłem — lecz mimowolnie!" Po tych słowach umknął przez pola i płoty. Rzucone worki z pieniędzmi, wykopany dół i potężny rydel w kurczowo zaciśniętej ręce Widlarza tłumaczyły każdemu, że Wiesław przydybał go przy tej robocie, a sknera z przerażenia umarł.

Po sutym pogrzebie Widlarza, spotkali się przypadkiem pośród żałobnych gości na cmentarzu Wiesław i Ciotka Halki, której on prosił o przebaczenie mu mimowolnego zasmucenia ich przez siebie, oświadczając, iż nazajutrz o świcie opuści sioło na zawsze. "Mojem ostatniem życzeniem" mówił mając się żegnać z wójtową, — "jest aby mi Halka przebaczyła, pamiętając o mnie w przyjaźni — całą moją zbrodnią jest to, że ją zanadto ukochałem!"

"Biedny chłopcze!" — odrzekła na to ciotka Halki — "zanim się puścisz w świat na nowo, przyjdź jeszcze późnym wieczorem pod tylne drzwi młynówki — tam zastaniesz mnie, a może i Halkę swoją, która ci — mam nadzieję — własnemi usty wyszepta to przebaczenie i pożegna cię na drogę." O oznaczonym czasie znalazł się też Wiesław pod młynówką, a wójtowa wprowadziła go wkrótce cichutko do izdebki Halki, która z pochyloną główką i nieruchomym wzrokiem na stołku siedziała i widocznie przybysza wcale nie zauważyła.

Wójtowa dotknęła się łagodnie jej ramiona i rzekła: "Halko, podnieś oczy — oto Wiesław do ciebie przyszedł, aby się z tobą pożegnać i błagać cię o przebaczenie. Nie bądź surową, kochane dziecko, Bóg przebacza nam grzesznikom, a więc mu i ty

przebacz!"

Wiesław spojrzał lękliwie na Halkę: zimny dreszcz go przeszedł — ona patrzała tak ponuro, jakby duch jaki — właśnie taką widział on ją wówczas na cmentarzu o północy. Młodzieniec rozpłakał się i rzekł: "Halko droga, ciężko nawiedzona dziewczyno! przebacz mi, tylko moja nieskończona miłość dla ciebie wszystkiemu winna — ależ my słabymi grzesznymi ludźmi, których burzliwe morze życia niby kruchy statek tam i sam od błędu do błędu, a nawet od występku do występku ciągle przerzuca. O przebacz mi, nie będę już tobie natrętnym, odejdę ztąd daleko; ale twój ukochany obraz, droga dziewczyno, w mem sercu żyć będzie, póki mi śmierć oka nie przymknie."

Łagodnie odpowiedziała Halka: "Wiesławie! — niegdyś byłeś mojem najmilszem kochaniem; miłe gwiazdy na wieczornem niebie nie spoglądały na mnie tak lubo, jak źrenica twego oka. Kiedy się otwarły twe usta, sądziłam, że słyszę głos nieba, a kiedyś był przy mnie, zdawało się mi, że anioł stróż ze mną obcuje. Odkąd atoli w grzesznem pożądaniu czyhałeś na śmierć mego ojca, odkąd stałeś się winnym jego śmierci przez spotkanie się z nim o północy na cmentarzu i swe przerażające słowa — nie chcę mieć z tobą nic do czynienia — idź w świat w imię Boga, niechaj ci zakwitnie wszelkie szczęście na ziemi — przebaczam ci wszystko, wszystko."

Łzami zalane oblicze ukryła dziewczyna w obie dłonie. Wiesława uczucie tak dalece pokonało, iż uczynił ruch, jakby się jej chciał rzucić na szyję w ostatnie pożegnanie. Skoro atoli wzrok jego spotkał się z jej spojrzeniem, spuścił znowu oczy na ziemię i westchnął.

"Jedno mnie tylko, Wiesławie, dziwi przy pożegnaniu, mianowicie, iż do mnie mówisz z odwróconą twarzą, jak gdybyś się mnie lękał — a tego się nie czyni, rozestając się z ukochaną osobą i prosząc o przebaczenie. Ciebie niepokoi moja obecność, widzę to — ty drżysz — nie jest to jednak drżenie winnego — ale to jest prawdziwe, wewnętrzne wzdryganie się przedemną, którą niby kochasz. Dla czego odwracasz odemnie oczy Wiesławie?"

Wiesław odrzekł ponuro drżącym głosem: "Puść mnie, puść, nie mogę dłużej na ciebie patrzeć; przeświadczenie o mej winie..."

Atoli Halka zajrzała mu do duszy, pochwyciwszy go tedy nagle za rękę zawołała: "Ha, rozumiem! nie prawdaż, że mnie w noc Bożego Narodzenia na cmentarzu widziałeś? Bledniejesz, spuszczasz oczy na ziemię, mów, nie zapieraj się — ty mnie widziałeś!"

Zimny pot trwogi wystąpił na czoło Wiesława: oderwał się gwałtem od niej i chwytając za klamkę u drzwi zawołał: "O, nie, nie, mylisz się: ciebie ja nie widziałem. Żegnaj mi, żegnaj po tysiąc razy!" Po tych słowach przypadł biedny Wiesław do drzwi. Nieszczęśliwa zaś, na pół martwa Halka rzuciła się w objęcia ciotki i zawołała słabym, ledwo dosłyszalnym głosem: "Zamów mi trumnę, ciociu: on mnie widział!"

VI.

Wierny postanowieniu Wiesław opuścił z rannym brzaskiem rodzinne sioło. Minąwszy ostatnie jego chaty zanucił cicho:

Smutno mi rzucać kącik rodzinny,
Gdziem w szczęściu spędził wiek mój dziecinny;
Smutniej porzucać dziewczę kochane
I jej pieszczoty niezapomniane...

Za wsią na pagórku jeszcze się raz zatrzymał i patrzał z tęsknotą na ten szczupły kąt rodzinny, który w sobie niegdyś jego cały świat zamykał. Schodząc potem z pagórka dobył fletni z kieszeni i zagrał na niej, przerywając chwilami gędźbę smętną dumką:

Wędruję sobie przez góry, lasy,
Dokąd mnie woła cel mej podróży;
Nie wiem, co spokój, co są wywczasy —
Sen me powieki nie łatwo zmruży.

Nigdy wędrowiec w drodze nie stanie,
On się nie lęka ciągłego znoju;
W ciągłej wędrówce ludzkie kochanie
Nie zna spoczynku, nie zna pokoju!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W. BOGUSŁAWSKI.

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÒRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Alboś to ty wej hołys, lub jaki mitręga,
Pseciec to i twój ociec seść kobył zapsęga
W furmankę, i niedawno woził kastelana
Do Warsawy, ba, nawet i samego pana
Wojewodę do Grodna, a jak się obrócił,
W tsy niedziele go zawiózł, i nazad się wrócił.
I ty tes ctery konie pędzis jednym licem,
Po wąwozach się kręcis, tsaskas łepsko bicem,
Mas tes dwa morgi gruntu, dwa zupany syte
I tańcujes najlepiej między parobkami,
Mas i kozuch skalmieski, buty s podkówkami,
Dwie laski w srebro kute, ksemieniem obite,
A jezeli do tego dziewcyna ci spsyja,
To się nicego nie bój.

Stach.

Ale nam cas mija,
Bo jak wej ci Górale psypłyną do młyna,
Jak się upse Dorota, to za poganina
Bartłomiej wyda córkę, i stracę dziewcynę.

Jonek.

Jesce tutaj nie zdążą ani za godzinę.
Basię tsa ze młyna zwabić, byśwa uradzili.

Stach.

Nie wiem jak to tu zrobić.

(Basia w dymniku pokazuje się).

Jonek *(spostrzega Basię).*

Cyt, widzis ty Basię?

SPRAWA II.

Stach. — Jonek. — Basia.

Stach *(biegnąc do Basi).*

Basiu! moja dusecko, zleź tu do nas trocha.

Basia.

Nie mogę, bo młyn wejcie zamknęła macocha.
Ale patsajcie jeno, jest ona w stodole?
Jezeli jej nie widać, zejdę choć po kole.

Jonek.

Niemas jej, chwilka temu, posła za ogrody.

Stach.

Zejdź więc, tylko ostroznie, abyś sobie skody
Nie zrobiła.

Basia.

Nie bój się, nie pierwsy ras ci to.

(Schodzi po kole, Stach jej rękę podaje, a Jonek patrząc śmieje się).

Jonek.

Ba, ba, ba! nie musiałaby chyba być kobietą,
Zeby się nie umiała wykradać do gacha.
Ale jak zręcnie skace, jak koza, ha! ha! ha!
Mówią, ze nie tsa wiezyć po miastach niewieście,
Djabła prawda, i nase to zrobią, co w mieście.

Stach.

Ach Basiu! zycie moje, cós to będzie z nami?

Basia.

Abo co?

Stach.

Juz dwie krypy płyną z Góralami.
Niezadługo tu staną.

Basia.

A to niech ta staną.

Stach.

To cie wej nic nie martwi, to chces być wydaną
Za Bryndosa, Górala?

Basia.

Nic s tego nie będzie.
Wsak wies, kiej u nas był tu po kolędzie
Powiedziałam mu wyraźnie,
I ze ja się z nim nie draźnie,
Ale mu sceze mówię, ze jak djabła, jego
Nie cierpie, i, ze pójdę za Stasia mojego,
A ze on nie chce wiezyć, ze tak jest uparty
Niech go biorą carty,
Jak psyjdzie tak pójdzie s kwitkiem.

Stach.

Dobze to, moja Basiu, ale gdy s tem wsytkiem
Ociec cię musić będzie, albo tes macocha?

Basia.

Ociec tego nie zrobi, bo mnie mocno kocha,
A matuli zaś powiem: matulu słuchajta,
Kiej wam tak Góral miły, to se go kochajta,
Ja zaś wej za górala nie chce pójść i kwita,
A jak mnie gwałtem weźmie, pozna, zem kobieta
Tak go gryść, tak cartowsko zyciem z nim gotowa,
Ze mu za jeden tydzień, jak kadź spuchnie głowa;
Otós to tak jej powiem, i na tem się skońcy.
Nie bój się mój Stasieńku, nic nas nie rozłący,
Jeźli się nie nawiną inne pseciwności.

Stach.

Basiu cylis ty nie znas, całej mej miłości;
Jako węgiel skropiony wodą, bardziej pazy,
Jako wiatr rozdymając, ogień, lepiej zazy,
Tak me serce większego doznaje płomienia,
Kiedy mi się fortuna w pseciwną zamienia.

Basia.

Jus se wej nie gryź głowy, jus ja w to poradzę,
Ze tego natrętnego Górala odsadzę;
A jak będzie uparty, zaśpiewam mu wreście
Tę piosneckę, co to ją jakaś panna w mieście
Swemu kawalerowi psed ślubem śpiewała,
Kiej ją matka za niego gwałtem wyganiała.

ŚPIEWKA.

Mospanie kawaleze,
Nie zeń się, prosę, ze mną,
Bo ja ci powiadam sceze,
Ze ci nie będę wzajemną.

Natura kochać kaze,
I mnozyć swoje plemię,
Ja mam ku tobie odrazę,
Prosę zaniechajze mię.

Gdzie jest w małzeństwie zgoda,
Tam słodko lata schodzą,
Tam w domu jest swoboda,
Tam się i ludzie rodzą.

Lec gdzie w małzeńskie łósko,
Niezgodę djabeł wdmuchnie,
Tam zonie schnie serdusko,
Męzowi głowa puchnie.

Nie zda się baran kozie,
I kacka nie chce kruka,
Wabią się ptaki w łozie,
Kazde swojego suka.

Gdzie się w niewoli zyje,
Nie mas tam wzajemności,
Pies na powrozie wyje,
Kazdy pragnie wolności.

Otós to tak mu powiem.

Jonek *(który dotychczas w pole patrzał).*

Ej cicho!
Dorota wej tam idzie.

Stach.

A cy ją tu licho
Niesie, uciekaj Basiu, by cię nie zobacyła.

(Ciąg dalszy nastąpi).